

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

O matulu, matulu!

O, matulu, matulu dajcie mi książeczkę,
Niech ci z onej wyczytam jakąś nowinę.
O chłopaku zatracony
Na co tobie książeczki onej
Na co?

Dowiem się z książeczki co się kiedy dzieje,
Jakie człowiek na świecie przechodził koleje.
Zamiast żądać książeczki onej
Zajmij ty się zatracony
Pracą!

Kiej ci mnie tak rozbiera okrutna ciekawość
Jak ten świat utworzyła Najwyższa łaskawość:
Widzita go utrapienie
Jakie to on ma zachcenie
Jakie?

Chce się i to wiedzieć dobrze matulu, matulu,
Cy to ludy tak pracują jak pszczoły w ulu?
Oj cyste boskie skaranie
Skąd mu takie opętanie,
Takie?

Pono w książeczce jasno stoi o wszelakich ludach,
O obłokach, chmurach, morzach i przeróżnych cudach,
A ty raku zatracony
Dam ja tobie książeczki onej
Jak ci grabiet spiorą.

Mówił to ksiądz na hambonie pamiętam przecie,
Że to wszystko stoi w książkach co je na świecie.
Pójdźles ty mi prec ładaco,
Zajmij mi się dachem pracą,
Opatrz oborą!

Chciałbym wiedzieć moja matulu także co nie co,
Czem są gwiazdy co na niebie w jasną noc świecą.

Jak ci w gębę dam roboku,
To ci gwiazdy staną w oku...
To, to!

Czemu one gwiazdy nocką świecą tak jasno,
A za wejściem jeno słonka zarozłeczek gasną?
Swinie pasać! ty niecmoto
Nie zajmiesz mi się robotą
Co? co?

Chce ci wiedzieć co miesiąc ten blady, młody
W noc po niebie robi takie duże obchody.
Chrystusowe wielkie rany
Toć to pędrak opętany
Namową czyją?

Skąd się bierze deszcz, śnieg, zorza, tęcza i luny
Co jest dzień, noc, błyskawice, grzmoty, pioruny.
Oj cicho już, toć ojcowie
Nie miewali książków w głowie
A zyli, zyją!

Matusz mi się nie przeciwłoj najdę ci porę
Na oną książeczkę lubą i na oborę.
Oj robaku naprzykszony
Na co tobie książeczki onej
Czy ty wiesz?

Nie zrobię wam krzywdy z tego w dobytku ni
[w czasie,
Toć czytanie z pracą chłopską pogodzić też da się...
Jak ci ją wzlon całować,
Przymilać się, cudować,
Rzekła: rób jak kecs!

Kotek i szczupak.

Pójdę dziś na lowy, — mówi sobie kotek.
— Powietrze ładne, ciepło, te myszki wyjdą na spacer i schwyć je łatwo.

I umywszy starannie pyszczek, wstrząsnął swem czarnem faterkiem i puścił się na pole. Droga wiodła go wzdłuż stawu, w którym dużo ryb pływało, i kotek lubił tamtędy chodzić, bo znał niektóre ryby. Mianowicie jeden duży, tłusty szczupak był jego wielkim przyjacielem.

Szczupak ten był królem stawu, wszystkie rybki drżały przed nim ze strachu. Gdy mu się jaka nie podobala, polykał ją natychmiast, to też nie jedna zczyła mu wszystkiego ziego z całego serca. A on, im więcej jadł, tem więcej łakomym się stawał. Tak to zawsze bywa.

Płynąc właśnie blisko brzegu, ujrzał kotka, zjadającego właśnie z wielkim apetytem schwytaną myszkę.

O, pomyślał, jak mu to smakuje! A ja tego wcale jeszcze nie znam! — Hej, kotku — zwołał — masz tam jeszcze jedną taką myszkę? Daj mi ją, bom głodny. Albo zabierz mnie z sobą na łowy!

— Nie mam więcej, — odrzekł kotek, — a jeżeli chcesz jeść, to jedz twoje rybki! Chwyatanie myszy nie jest tak łatwe, jak myślisz!

— O, ja jestem bardzo zręczny, patrz!

I jednym gwałtownym rzuceniem się wyskoczył na brzeg. Widząc jednak, że nie może po ziemi chodzić, prosił kotka, aby go zaniosł tam, gdzie najwięcej myszy. Poczciwy kotek chwycił go ostrożnie zębami i zaniosłszy pomiędzy brzozy, położył go tamże. Potem pokazał mu, jak się mysz chwyta i odszedł sam na czaty.

Ale po upływie pół godziny usłyszał nagle straszne jęki swego przyjaciela. Przestraszony pobiegł do niego i co ujrzał? Oteż łakomy szczupak leżał nawpół nieżywy na suchej ziemi, a wkoło niego kilkanaście myszy i nawet szczurów, skubiących niełitościwie jego tłuste ciało.

— Ratuj, malej! — jęknął szczupak na widok przyjaciela.

Wtedy wziął go kotek znowu pod opiekę, — ledwie się ukazał, uciekły myszy i szczury, a on odniósł go napowrót do stawu. We wodzie odzyskał szczupak siły — zamiast jednak podziękować za ratunek kotkowi, uciekł ciemprędzej na drugi koniec stawu do swej kryjówki.

Kotek rozśmiał się i wołał za uciekającym:

— Pewnie już nigdy nie pójdziesz ze mną na myszy! Zamiast najeść się nimi, byłyby cie one zjadły! Tak bywa łakomcom!

Książę żelazny.

Przypowieść.

Był raz zły książę, który nad niczem innem nie przemysliwał i nie pracował, tylko nad tem, jakby wszystkie kraje świata zagarnąć i ujarzmić, tak, aby go się na ziemi wszyscy ludzie bali.

Ogalem i mieczem niszczył kramy, a żołnierze jego podpalali wieśniacze zagrody i sady, że aż owoce pieczone zwieziały się z czarnych, zwęglonych drzew. Z nagiemi niemowlętami na ręku uciekały biedne matki z dymiących zgłiszczów swoich chat, lecz żołnierze je ścigali, a schwytawszy, wywierali na nich swoją złość piekielną. Szatan nie mogliby się znać okrutalej. Książę twierdził jednak, że to jest prawem wojennem i że tak właśnie dźiać się powinno.

Z dniem każdym rosła jego potęga, imię jego było postrachem wszystkich, a szczęście i powodzenie towarzyszyło mu we wszystkim, co tylko przedsięwziął. Złupione miasta dostarczały bogactw jego siedzibie, gromadził tam broń i skarbow bez liku. Kazał budować zamki wspaniałe, twierdze i pomniki, a wszyscy oglądając te budowy i skarby, wołali, przejęci czcią:

— Co to za potężny książę!

Nie pomni nędzy i niedoli, jaką ścigali na inne kraje i miasta, nie słyszeli lex i jęków, wznozących się ze zgłiszczów chat spalonych.

A książę oblicza swe skarby, oglądał zbrojownie i myślał podobnie jak ogół: Istotnie jestem książę żelazny! — Ale muszę mieć broń więcej, jeszcze więcej. Żadna władza niech się z moją porównać nie ośmieli, a cóż dopiero przewyższyć ją!

Napadał więc zbrojno swoich sąsiadów i zawojował wszystkich. Zwycięzonych królów kazał złotymi łańcuchami przykuwać do swego rydwanu i wodził ich po ulicach stolicy; a kiedy biśliadował, to królowie owi musieli jemu i jego dworzanom służyć u stołu i zadowalać się okruchami, rżucanemi im jak na urągowisko.

W końcu kazał książę posągi własne stawiać na publicznych placach i gmachach, a jeden usiłował nawet umieścić na ołtarzu w kościele. Temu oparli się jednak kapłani, mówiąc:

— Książę, ty jesteś wielkim, ale Bóg jest większy, nie możemy usłuchać twojego rozkazu.

— A więc i Boga zwyciężę! — zawołał.

Kazał tedy, pychą i zapamiętałością blaznierczą wiedziony, zbudować kosztowny okręt nadpowietrzny, żeby się w nim do nieba przeprawić. Okręt był błyszczący jak pawi ogon cały nasadzony polyskującemi oczyma — a każde oko było otworem lufy armatalej. Książę siedział u steru i potrzebował jeno nacisnąć sprężynę, aby kul tysiące gruchnęło na wszystkie strony, podczas gdy równocześnie wszystkie lufy na nowo były nabite.

Tysiąc orłów ciągnęło okręt, leciał też chyżością strzalał ku słońcu.

Hej! jaka ziemia mała na dole! Góry i lasy zdawały się jedną zoraną rolę, wkrótce majaczyły już jeno jak mapa wybladła, wreszcie obłoki przysłoniły ją zupełnie.

Coraz wyżej leciały orły w górę ku niebu. Wtedy Bóg zesał jednego z niezliczonych anio-

łów swoich. Księżę żelazny zionął na niego tysiącem kul, ale te odbiły się jak grad od śnieżystych skrzydeł anioła. Jedna kropka krwi, jedyna padła z piór białych na wojenny statek księcia, przebiła go na wylot, zaczęła jakby tysiącem centaarów i rwała okręt szalonym pędem w dół; połamały się skrzydła orłów, wicher wyl okolo głowy księżęcej, a chmury utworzone z dymu pogorzeliśk, gonili za nim w groźnych, strasznych postaciach. Potwory jakieś wyciągały za nim szpony, to znów skały, młotające odłamy młazzące, albo smoki zlejące ogniem.

Pół żywy leżał księżę na „pokładzie okrętu, który wreszcie z okropnym impetem spadł i uwiązł w ogromnych konarach stuletniego lasu.

— Zwycięzę Boga! — rzekł księżę. — Powiedziałem i wola moja wykonać się musi.

Kazał więc teraz przez lat dwadzieścia budować sztuczne okręty nadpowietrzne, kazał kuć groty z najhartowniejszej stali, chcąc niemi w niebieskie zastępy uderzyć. Ze wszech ziem swoich zgromadził wojsko, niezliczone jak piasek w morzu. Wojsko zajęło okręty; księżę miał właśnie wsiadać do swojego, gdy w tem zesłał Bóg rój komarów. Ten obsiadł twarz księcia i ręce; wściekły, dobył miecza i opędzał się nim, machając w okolo; przecinał jednak tylko powietrze samo, a komary ciążyły go bezkarale.

Kazał tedy słabie, aby go owiało w grabe, kosztowne dywany, w któreby się komary wcisnąć nie mogły i stało się jak rozkaz. Mimo to, jeden jedyny komar zakradł się w zwoje dywanów, wlaź w ucho księcia i palił jak ogniem. Jad doszedł aż do mózgu. Wściekły, oszalały z bólu, zerwał z siebie osłonę, odrzucił daleko, poszarpał odzienie na szmaty i nagi rzucał się i ciskał w obecności dzikich zoldaków, co się teraz z szalonego swego księcia naigrawać poczęli... że upadł!...

Tak Boga chcąc pokonać, zginał od komara.

Przypowieść tę napisał sławny duński pisarz Cr. Andersen.

Pan Jezus uzdrawia dziecią.

Podług podania ludowego.

Gdy Pan Jezus jeszcze po ziemi chodził, wstąpił razu jednego do ubogiej chatki i prosił o nocleg.

„Możecie zostać na noc,” odpowiedział właściciel tej chatki, „jeżeli na smutne twarze patrzeć chcecie i nam za złe naszych kłopotów i boleści nie weźmiecie.”

„Szanuję każdą boleść,” rzekł Pan Jezus, „ona jest służebnicą Boga, która duszy drogę do Nieba toruje, zatem więc uczynicie to, co serce wasze wam przykazuje.”

Wesoło palił się ogień na kominku i wnet zastawiono wieczerzę dla Pana. Następnie ofiarowano czyste postanie. Nazajutrz wstał Pan Jezus, pokrzepiony, aby się puścić w dalszą podróż.

„Pokrzepiliście duszę moją i wzmocniliście ciało moje waszą gościnnością. Nie mogę od was odejść, nie zostawiając znaku wdzięczności mojej. Powiedźcie, coby sercu waszemu czystą radość sprawić mogło?”

„Ach, nie macie żadnej mocy do tego!” od rzekła smutnie żona właściciela. „Mamy jedynie, kochane dziecko, a to nam bardzo chore. O żebyśmy choć jeszcze raz jeden mogli widzieć uśmiech na twarzyczce naszej kochanej dzieciny.”

„Zaprowadźcie mnie do dziecka!” mówił Pan Jezus. „Kocham dzieci bardzo; może, że sprawię co życzyście!” Rodzice zaprowadzili gościa do łóża dziecicy swego. Leżało blade cierpiące; lecz skoro Pana Jezusa ujrzało, — poczęło się uśmiechać, i to tak ślicznie i mile, że zranione serce rodzicielskie uczuło jakoby balsam niebieskiej pociechy.

Choć Zbawiciel świata od wieków w niebie króluje, to jednak i dziś podobne pociechy rodzicom sprawia.

Dla tego udajcie się tylko do Pana Jezusa, wy serca rodzicielskie, gdy wam kochane dziecko na łóżu choroby i boleści leży; niewidzialnie chodzi, On zawsze jeszcze do chaty wstępuje, a na co spojrzysz, to się uśmiecha i wyzdrowieje albo umiera, aby wtenczas u Niego w niebie żyć na wieki.

Kto z Bogiem, to i Bóg z nim,

czyli

Powieść o dwóch żebrakach.

(Dokończenie).

„A widzisz”, król dał mi piękny chleb biały, bo ja w króla wierzę, a tobie czarny i suchy; i cóż ci teraz Bóg pomoże?”

„Nie bluźń i nie grzesz ciężko” rzekł Szczudło, „ja i za ten czarny chlebaszek Bogu dziękuję, tak samo jak za piękny, biały.”

Oddalił się Kostel z szyderczym uśmiechem, a Szczudło swój chleb rozłamał. Lecz jakżeż się zdumiał, kiedy oto mnóstwo dukatów brzęczących wypadło na ziemię. Szczudło nie dowierzał swym oczom, zdawało mu się, że to sen. Wzruszawszy się, że to rzeczywiście, wymówił tylko te słowa: Kto z Bogiem, to Bóg z nim, pobiegł co rychlej na zamek królewski podziękować królowi za doznaną łaskę. Ten zadziwił się wielce, gdyż w próżności serca przeznaczył te skarby Kostelowi za to, że go tak wysoko cenił; a widząc, że cudownem zrządze-

niem Opatrzności! Szczudło tę hojną, otrzymał jałmużnę, rzekł te słowa: „Bogu i mnie dziękuj,” a mimowolnie pomyślał: „Kto z Bogiem, to Bóg z nim.”

Szczudło stał się takim sposobem nagle majątnym człowiekiem; ale czy myślicie, że zapomniał o Bogu, jak to wielu czyni, kiedy przyjdą do majątku? O nie! tem goręcej wielbił Boga, a za otrzymane dukaty zbudował kościół i dom dla ubogich, gdzie też sam osiadł na stare lata. I wiele czynił dobrego przez cały ciąg żywota a nieraz powtórzył to przysłowie: Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

Chcecie wiedzieć, co się stało z Kostelem? Oto z gniewu i zazdrości, że go minęły dukaty, ciężko zachorował, a wtedy się pokazało, jak to źle tylko na ludzi się spuszczać, bo ci wszyscy opuścili Kostela. I leżał on jak Łazarz opuszczony. Dowiedziawszy się Szczudło o smutnem jego położeniu, pospieszył natychmiast z pomocą, pielęgnując go troskliwie w chorobie.

Ozdrowiał z czasem Kostel ale ozdrowiał nietylko na ciele, ale i na duszy. Dobroć bowiem Szczudła i owo cudowne prawie zdarzenie z chlebem, tak go wzruszyło, że już odtąd postanowił porzucić drogę występku. Jakoż w rzeczy samej przykładem Szczudła wzmocniony poprawił się zupełnie; choć już prawda nigdy nie był takim doskonałym, jak Szczudło, bo jak chwast trudno ze szczerem wykorzenieć, tak i złe nałogi nie łatwo się dają wyrugować. I Kostel ostatek dni pospołu ze Szczudłem spędził na modlitwie, a doznawszy, jak to słodko żyć dla chwały Bożej, powtórzył także nie raz: Kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

Tak tedy spełniło się owe przysłowie, a i dziś czyż ono się nie spełnia? O kochani czytelnicy! zapiszcie sobie w sercu tę świętą prawdę, miłujcie Boga, wypełniajcie Jego przenajświętszą wolę, bądźcie enotliwymi, nie czynicie nic złego, strzeżcie się mianowicie pijaństwa i innych brzydkich grzechów, słowem: bądźcie z Bogiem, to i Bóg będzie z wami i dobrze wam będzie na świecie.

Asem i królowa duchów.

(Ciąg dalszy.)

Otworzono bramy, weszła królowa, weszli niewolnicy i kaci, wszedł też i Asem niewidzialny, wszedł razem z nimi aż do więzienia żony swojej i oparłszy się o ścianę, stał w kącie mileczący. Serce mu przecież biło tak głośno na widok żony i dzieci, na widok jej łez i okropnej doli, że królowa i niewolnicy pewnie bicie to słyszeli, bo często oglądali się w koło po więzieniu, szukając oczyma a nie widząc nic i nikogo.

Zadrżała biedna żona Asema na widok zbrojnych niewolników i zbliżającego się kata. Kró-

lowa zaś odezwała się do niej szyderczemi słowami, aby wołała do męża swego, iżby ją bronił a potem wyrzucając jej to poniżenie, którego się dopuściła, biorąc sobie człowieka za męża, choć z królewskiego rodu duchów pochodzi, kazała jej się gotować na śmierć, bo już bije ostatnia jej godzina.

— Bierzcie ją i przywiążcie za włosy do tego słupa, zawołała królowa, a ty kacie, rób, co twoja powinność.

Jeden z niewolników posunął się ku nieszczęśliwej królownie, która rzuciła się ku dzieciom swoim, i biorąc oba na ręce, tuliła je wśród głośnego płaczu do siebie, nie o swoje, ale o życie dzieci drżąc cała.

— Wara nikczemnicy! — krzyknął Asem piorunującym głosem! — ani się ważcie dotknąć tej, za którą Bóg wielki w niebie na śmierć was wszystkich pobije.

Tak krzyknął w okropnym gniewie Asem, a że miał czapeczkę na głowie, więc nikt go nie widział, i nikt też nie pojmował, kto i czem zadał głęboką ranę temu niewolnikowi, który już był wyciągnął rękę do broniącej dzieciaków swoich matki.

Strach niewypowiedziany spadł na królową, niewolników i katów, że uciekli wszyscy co prędzej i ledwo drzwi za sobą zatrzasnąć zdołali.

Nieszczęśliwa królowna poznała głos męża swego, ale nie widząc go, myślała, że jaki anioł dobry przybył jej na ratunek i przybrał głos jej męża dla pocieszenia w tej okropnej chwili.

Asem zdjął czapeczkę z głowy i pochwycił w ramiona swoje żonę i dzieci dwoje.

— O ty nielitościwa żono, czemuś mnie opuściła? — zawołał.

— Nie przypominaj, nie wyrzucaj mi tego! Dziwna natura moja mira mi nie dała i ciągnęła w ojczyste strony, gdzie srodze ukaraną zostałam za opuszczenie męża. Daruj mi, kochany.

Darował jej chętnie z całego serca, zwłaszcza gdy dwaj prześlicznicy synkowie rączki do niego wyciągali i jeden przez drugiego wołali tata!

Ile było radości i szczęścia, choć wszyscy w mocnem więzieniu siedzieli pod zamkami, trudno byłoby opisać. Opowiadało jedno drugiemu, co wycierpiało, jak tęskniło za drugim, a z ręką na rękę szły dzieci szczęśliwe, że mają i mamę i tatę przy sobie.

— Ale co zrobimy dalej, mój drogi? zapytała żona. Królowa wnet wróci i spełni, co mi przeznaczyła.

— Nie obawiaj się niczego, — rzekł Asem. — Bóg dopomógł dojść tu do ciebie, on mi i wyratować cię pomoże.

Ludziom szczęśliwym prędko czas schodzi, więc zeszedł im także. Ani się nie spostrzegli, a tu ciemnieć się poczynąło, bo bliżył się wieczór.

(Ciąg dalszy nastąpi.)